

przez śniegiem zavalone kłody i jamy lasu kilku sztabowców, oficerów i żołnierzy w kupce: nieśli rannego. Od nich dobiegł adjutant:

— Koniał noszów!

— Kto ranny? — spytał Ignacy.

— Jenerał Zajacek, nogę mu zgruchotało.

Ignacy obrócił się ku Ptysiowi — tamci już przeszli, o nic nie pytając, adjutant pogonił za nimi.

— Kto obejmie komendę nad korpusem? — krzyknął Ignacy ku Uszyńskiemu.

Uszyński nie słyszał, Ignacy nie zwrócił na siebie jego uwagi. Przejęło go znów zimno — tak lodowate i tak zdradziecko w głąb sięgające aż do trzewiów, że zatulając się usilnie w kubrak, zwrócił się do dział. Miał ich teraz tylko trzy. Ale tamte nie były stracone w boju ani porzucone w błocie i topielach drogi: w Krasnem nakazano korpusowi piątemu oddać połowę swych dział korpusowi króla włoskiego, Eugeniusza Beauharnais.

Przez las przesypała się jakaś kompania piechoty, potem druga, trzecia, idąc do ataku. I nagle, granaty i kule, które dotąd trzaskały i obijały konary z drzew opodal, przeniosły się jak deszcz ulewny bliżej, objęły stanowisko artylerji. Wśród huku nieustannego przybył nieznośny trzask i łomot oblatujących konarów i gałęzi i łoskot walących się, gruchotanych pni. Ignacy krzychał komendę zdzierając bezkutecznie gardło: nikt go nie słyszał. Pochwyciwszy opieszalego żołnierza trząsł nim: nagle huk ogłuszający, blask, pchnięcie straszliwe cisnęło go gdzieś w dół. Zakotłowały się oszalałe konie, zrywając się dęba w powietrze. Z rzuconych o ziemię ludzi zaraz porwali się ci i owi i rzucili ku działom i jaszczkom do pracy, niektórzy jeszcze zataczając się po ogłuszeniu, okrwawieni. W ryk i gromy walki wmięsało się nieustanne jęczenie, wrzaski bólu tych, co zostali na ziemi. Ignacy w ciszy, która go nagle ogarnęła i w miłym spoczynku bezwładnego leżenia, zaczął jak daleki szum chwytając walenie się armatnich strzałów, jęki, łomoty, drżenie ziemi. I nagle ocknął się: uczuł na twarzy zimno śniegu, w którym leżał, zerwał się, zatoczył, i zapalczywie począł pięć się ku stanowisku dział.

— Ogłuszyło mnie — myślał, czując jednocześnie, że mu nic nie jest. Jednakże było mu coś, gdyż po chwili znów się ocknął w śniegu, z posmakiem jakby długiego snu, i wielką ochotą do nieprzerwywania go jeszcze. Jednakże przyskoczył któryś żołnierz pomódz mu wstać. Wobec tego dzwignął się. Trochę jeszcze ogłuszony od uderzenia wrócił do dział. Zorientował się, że strzelają teraz na upartego, ciągle, równo, regularnie. Wyszło to na funkcję jakąś prostą i naturalną, tok życia niejako, robiło się samo. Od rana nic nie mieli w ustach. Czasem szmat jakiejś krótkiej myśli przewijał mu się przez głowę: takto, Francuzi sobie uchodzą, rozłożą się dalej obozem, a oni tu będą ich zakrywać aż do nocy. Szarpał się: żeby choć iść do ataku odrazu choć w najgorszy ogień! A nie tak na ślepo walić.

Przyjechał pułkownik Redel. Chwalił i zagrzewał żołnierza, czego można było się domyślić z wyrazu twarzy i ruchu ust. Słuchać nic nie było. Przyzwał kapitana Kleszewskiego do siebie, spytał o jaszczki.

Usłyszawszy, że mają amunicji dosyć, ruszył.

— Panie pułkowniku! — zawołał Ignacy.

— Czego?

— Żołnierze nic nie jedli od rana! Gdyby można....

Dalsze słowa zginęły w huku walącego się drzewa, ściętego w połowie wysokości kulą działową. Przygniotło żołnierza jak robaka, za głowę. Chwilę rzucał nogami, potem przestał. Ignacy patrzył na pułkownika. Ten ruszył szablą, którą trzymał opuszczoną jak szpicrutę, i uśmiechnął się niewyraźnie, potem zgryźliwie machnąwszy ręką, ruszył dalej, na ostrożnie stąpającym koniu.

— Pies! — pomyślał Ignacy z zadowoleniem, że może sobie sprawić ulgę. Wszelkie inne sposoby oceny znakomicie wygładziło zmęczenie śmiertelne, głód i zimno. Znękanem ciałem żądał każdy jedynie

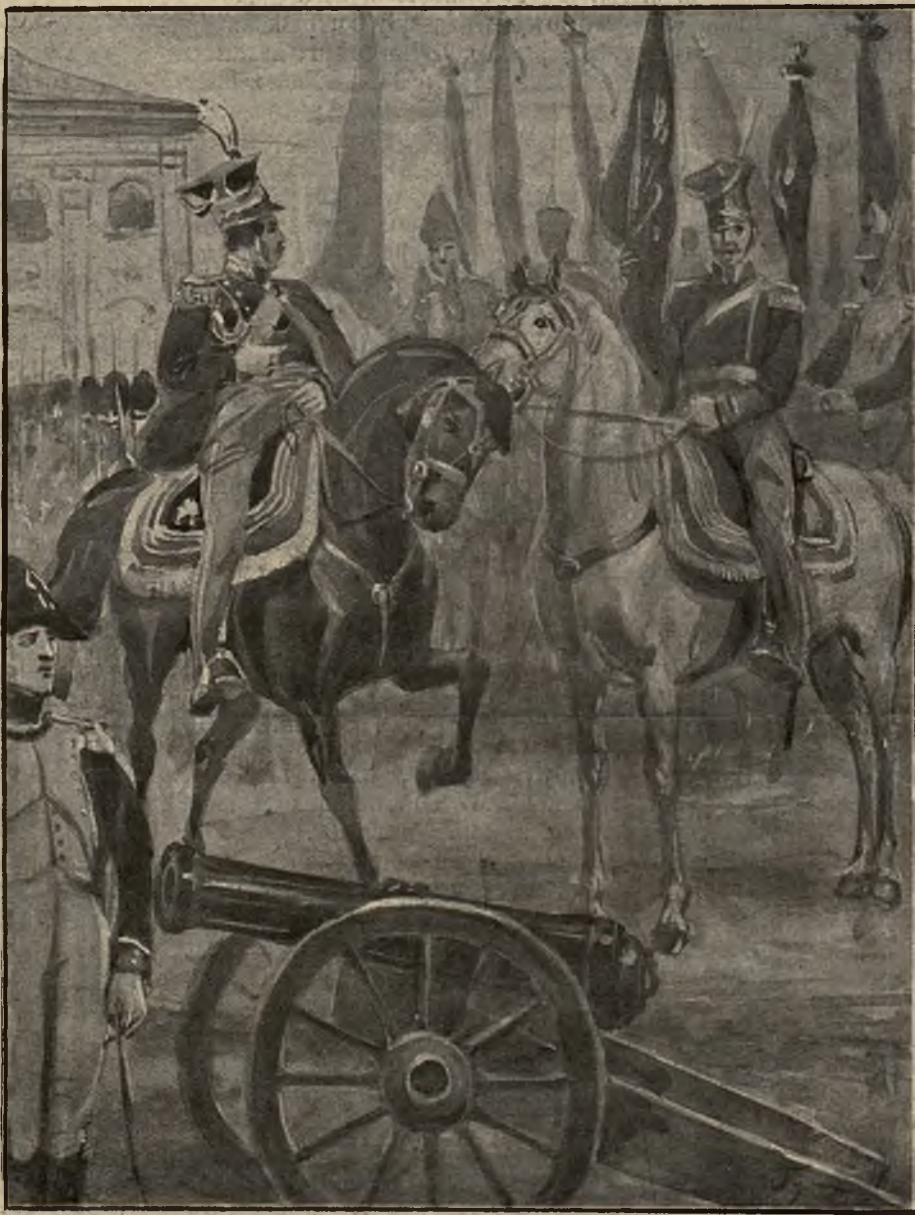
jedzenia, ciepła, spania. Cóż reszta? Co może obchodzić reszta? Wrócił do armat.

Strzelali ciągle taksamo. Przybywali ranni, którzy gramolili się prosto przed siebie.

Cała dywizja Dąbrowskiego stoi pod bronią, — mówili, — nieprzyjaciela nie widzi, tylko w miejscu ginie pod kulami i granatami i od walących się połupanych drzew. Zasłania artylerję i cofanie się armii, ale sama padnie.

Ignacy słuchał chwilami. Kanonierzy w krótkich przerwach od strzału do strzału dowiadywali się nowin. Spluwali: Tfu! I warto to! Tyle dobrego żołnierza!

I wracali w automatycznej kolei do dział. Kompania złała się w jeden organizm, w którym pracowali ludzie, a działa były organami czynności na zewnątrz. Ignacy czuł niemylnie po ruchach, po nieuchwytnych niemal zmianach w szybkości działania, zniechęcenie zmęczonego żołnierza. Kiedy indziej wpadłby z krzykiem, łajaby, wydarł z nich rączność, ochotę, sprawność. Ale jego samego zdejmowała chwilami rozpacz. Zadługo trwały straszli-



Te to symbole honoru pułkowego, oddane w ręce orłowych, ruszyły ku pułkom.

we klęski, okropna nędza armii, rozprzeżenie powszechne, bieda, zimno, głód, ostatnie zmęczenie. Przychodziła jakaś głucha pokusa rzucenia wszystkiego, dostania się w niewolę albo też zlania się z beziennym tłumem maroderów. Wówczas „nie dziwił się” tym, co to zrobili. Ale takie pomysły były chorobą, i wcale nie wchodziły w grę. Jeszcze zacieklejsza stawała się wola wytrwania, czystego doniesienia swego sumienia żołnierskiego do ojczyzny.

— Nie my to złamiemy kadry — myślał, jakby chciał czyjaś ufność upewnić. —

— Nie my to rozsypiemy nasze wojsko.

I znówu porywała go rozpacz:

— Na co, po co? Co teraz będzie?

Dławił ją, starał się myśleć płytko, ostro, po żołniersku: Nie damy się. Jakoś to będzie.

I rzucał się ożywić strzelanie. Miało ono popierać ruchy piechoty. Tymczasem piechota stała pod ogniem nieprzyjacielskim. Chwytała go chęć płaczu albo śmiechu.

Mróz stawał się coraz tęższy. Kanonierzy wierzchem czarnych rąk ocierali łzy szklące im oczy. Twarze brzękły, szron chrząścił na wąsach, na włosach. Ale natężona robota koło dział wciągała i trzymała całą uwagę. Głód i mróz były jak poboczna

rana, o której się na razie nie pamięta. Dzień od zimna jakby oszadzał, pomroczył, stęzał, zeskorupił się zwolna w zmierzch. Wtedy kazano schodzić z pozycji.

Skoro przyszło się ruszyć, żołnierz, mając noc i odpoczynek w perspektywie, odrazu wrócił do swych ran, głodu, zziębnięcia, nędzy. Ignacy udawał, że nie widzi, jak ten i ów poległ czy też rannym ściga buty, szmaty. Niektórzy z leżących jęczeli jeszcze w śniegu, inni już pomilkli. Prawie połowa kompanii ubyła.

Ruszyli spuszczać się ku drodze, po niemożliwych jamach, kłodach i zaspach leśnych. Trakt miński był prawie pusty. Tu i ówdzie trupy, czarne łachy na śniegu. Baterie nieprzyjacielskie jeszcze nie umilkły. Raz wraz ciężkie armatnie kule przesłakiwały przez trakt, padały granaty. Chętnie minęliby trakt wzdłuż lasem, wydawało się to bezpieczniejszem. Okazało się to niemożliwe, zjechali na środek. Droga w porównaniu z poprzednią była wyborną, armaty jechały gładko, równo, prawie bez wybojów. Naglili konie. Ignacy trzymał się z tyłu, pilnując ładu. Usłyszał pęd, uderzenie kuli nieopodal, potem rzuciło go w górę, razem z koniem. Wstał oszołomiony próbując ręk, nóg, nic... Na ręce miała rana, od jakiejś gałęzi ostrej, na którą padł.

— Drugi raz mnie mija — pomyślał — i pomyślał z satysfakcją.

Macał się jeszcze. Całe łędwie, kolana, miał ciepłe i lepkie, najwidoczniej od krwi. Dorozumiewał się, że granat musiał zabić konia: natrafił też na jego trupa nogami. Pożałował go. Obejrzał się zaraz za swym oddziałem: znikł w ciemności.

— Złękli się — pomyślał — i pomknęli.

Puścił się żywo bokiem traktu za nimi. Jednakże, czy to, że w upadku stracił poczucie strony, w którą go rzuciło, czy też ogólną orientację kierunku, dość, że po mozolnej wędrówce, zauważył że brnie w śnieg coraz mniej zjeżdżony, i że droga nieznacznie podnosi się w górę. Nie było się co łudzić, nadaremnie tylko czas stracił. Trzeba było wracać, i to co żywo.

Uświadomił sobie bliskość nieprzyjaciela, kozaków, czających się wszędzie wokół armii i zabijających kogo dopaść mogli bez niebezpieczeństwa. Przeskoczył głęboki rów w lesie, kierując się w stronę drogi wielkiej armii.

Szedł spieszenie, mimo śmiertelne go zmęczenia, które go ogarniało. Rzeźwił się z niego przemocą, usilnie zważając na dalekie odgłosy, jakieś echa, ślady łun, które powinny być prostą drogą doprowadzić go do ludzi. Porywał go bezsilny gniew na podkomendnych, którzy tak się pospieszyli z ucieczką. Wymyślał im nawpół głośno, nawpół w duchu. Naraz stanął: zdawało mu się, że coś słyszy.

Wokoło był las głęboki, sosnowy. Wysokie drzewa rozstawione swobodnie, między niemi czarne korowody zarośli. Księżyc wysoko na niebie wy-

nurzał się w okręgu siwych chmur, z obręczą rozplywającą się, rudoburą, zamykając ich jasność, w której sunęły i sunęły. i nikły poza rudym pierścieniem, jak postaci przechodzące za oknem.

Ignacy stał w śniegu, nasłuchując czujnie. Słyszał dzwonięcie w uszach, w głowie bezsensowne powtórzenie gromów dnia: strzały, krzyki, gruchot gałęzi, stękanie koni, rozmowy krótkie a gwałtowne, jęki i huk nieustanny armat. Pozatem słyszał ciszę lasu, jak spokojny mrok, rzucony na żrącą gorączkę dnia.

Wtem ozwał się ruch, szum głęboki: wiatr przeszedł szczytami wysokich choin. Ignacy ruszył dalej. To, co go otaczało, stawało mu się śmiertelnie obojętne, niewymownie obce. Armja, obóz, artylerja dywizji wraz z jego kompanią, zacierały się, jakby ich istnienie było przykrą nowiną, którą jednakże nie ma potrzeby zbyt się przejmować. Zostawało tylko czucie mrozu, głodu i nieprzeparłej chęci snu, chęci położenia się.

(Ciąg dalszy nastąpi).